

# PĄTNIK

**Maciej Głowacki**

Wrocław 2020

Jedyne co znałem całe życie to ból, cierpienie i wędrówkę gardłem Katedry. Krzyk niesiony korytarzami wydawał mi się zawsze naturalniejszy niż wiatr, który tylko z rzadka wpadał drobnymi szparami i jak najszybciej uciekał.

Trzask.

Gdybym mógł zebrać całą katorgę, jaką widziały obsydianowe rzeźby świętych męczenników i zgnieść ją w pięści, powstałby z tego mały, czarny kamyk. Położyłbym go na rękach Boga i zaczął szukać nowego, a potem kolejnego, aż całe życie spędziłbym na kolanach, wypatrując drobin ludzkiej nędzy.

Trzask.

Najpiękniejszego daru.

Trzask.

Esencji życia.

Trzask.

Początku i końca pielgrzymki, jaką wszyscy przechodzimy korytarzami świątyni.

Trzask, trzask, trzask. Wtem słyhać krzyk, który zaraz przeradza się w wycie, gdy ciało przestaje nadążać za własnymi odczuciami i nie może wytrzymać istnienia. W pewnym momencie organizm poddaje się, akceptuje i nawarstwia ból, aż do całkowitego załamania. Natomiast nigdy nie wstrzymuje rąk, które same go kaleczą.

Pokutnik padł na chłodny kamień posadzki, zwinął się w kłębek i chwycił za twarz. Przez jego palce przepływały drobne stróżki świeżego szkarłatu, zmywającego zaschnięte warstwy brudu.

Któryś z kapłanów procesji zbliżył się, nachylił z troską i spojrzał na twarz nieszczęśnika. Miedziana kulka na końcu pejcza musiała uderzyć go w oko, rozbijając gałkę na lepką, galaretowatą masę.

Dla kaleki wędrówka kończyła się między zebranymi gapiami, zbyt niedołącznymi lub młodymi, by dołączyć do cierpiętników. Ktoś wciągnął oślepionego między koczowiska i szmaciane chatynki. Procesja musiała trwać.

Zacisnąłem palce mocniej na skórzanej rączce, wykręciłem porywisty młyniec rzemieniem z hakami i uderzyłem za siebie. Po plecach przeszedł mi dreszcz, mięśnie odmówiły na moment posłuszeństwa, zęby zatarły o siebie ze zgrzytem, ale zebrałem się na odwagę i wyrwałem kawał ciała spomiędzy łopatek.

Przez chwilę zakrwawiony strzęp łopotał mi z końca pejcza jak chorągiewka, znak poświęcenia i błogosławieństwa. Wziąłem głęboki oddech, spojrzałem w bok na resztę flagelantów i wypatrzyłem z tłumu Kamaela.

Żelazny łańcuch z wtopionymi kolcami żgał go przy każdym ruchu w pachwinie i pod żebrami. Na szyi miał zaciśniętą obcęgi obrożę, była tak ciasna, że skóra dookoła wydawała się całkowicie pozbawiona koloru. W oczach płonął mu żywy ogień ekscytacji, ale też i gniewu.

Nienawiść do życia rodziła gniew. Gniew wobec cierpienia, jakie musieliśmy znosić i miłość wobec Boga, który owo cierpienie wynagradzał. Nikt nie biczował się dla samego biczowania, każdy czuł zewnętrzny, namacalny impuls.

A jednak, czy mógłbym po prostu przestać?

Spojrzałem na własną dłoń, której palce lekko rozluźniły się, zostawiając zakrzepły ślad potu i krwi. Łagodny, chłodny podmuch liznął rozwarte opuszki pokryte limfą.

Trzask.

Wzdłuż karku spęłzył mi płomień i znów uderzyły mnie po uszach okrzyki, jazgocące z całą mocą i nawołujące do oświetlonego pochodniami sklepienia.

Nienawidzę żyć, pomyślałem, te wszystkie jałowe procesje, to całe puste gówno, to nic, nicość. Człowiekowi brakuje słów, by opisać to, jak okropna jest Katedra, bo nie istnieje nic innego, tylko Katedra. Nie można mówić o Katedrze inaczej niż z czcią i to tak, by nikt przypadkiem nie podejrział myśli. Dlatego lepiej myśleć z uwielbieniem, myśleć pięknymi słowami, zakamuflować się pod pokrywą modlitw i może pewnego dnia...

Wreszcie walka dobiegła końca i poczułem na języku metaliczny posmak zwycięstwa. Zwiotczałe nogi same odmówiły posłuszeństwa, padłem na ziemię, uderzając kolanami, by postawić ostatnią kropkę, na końcu gorejącego męką psalmu.

Rozległa się niemal całkowita cisza, w której dało się słyszeć dziesiątki dyszących gardeł, zdławionych postękiwań i wrywających się z ust piśnięć. W półmroku jaśniały tylko spocone, nagie plecy kłęczących i kilka wykręconych sylwetek służby, niosącej wysokie, dymiące świece, które dawały nazbyt mało światła, by ukazać mnogość pokutników.

Nie wyszedł nikt na podium, nikt nie dał przemowy, wszyscy wiedzieli, co ma się zaraz wydarzyć. Czekaliśmy przez lata na ten dzień, gdy Bóg objawi nam

się, powie jedno słowo, nie byle jakie słowo, ale Słowo i tym samym pozwoli nam wytrwać w dalszej wędrówce żywota. Słowa były największym błogosławieństwem.

Gdyby tylko Bóg dawał nam dowody swojego majestatu, nie byłoby żadnej chwały w wierzeniu w niego. Nie mogliśmy przecież oczekiwać, że przyjdzie za każdym razem, gdy tylko pocujemy się osamotnieni w chłodnych murach Katedry.

Oto jednak miał nadejść ten, który trzymał tysiące swoich wyznawców przy życiu, odgrodził nas od świata zewnętrznego i uwolnił, nadając nowy sens. Gdyby nie Bóg, gdzie moglibyśmy być? Poza samą Katedrą nie było nic, tylko przytłumione, czerwone promyki światła, wpadające przez witraże. To nie mógł być przypadek, że nawet istniejące gdzieś tam, poza Katedrą, słońce miało karmazynowy kolor.

Czterech ubranych w czyste szaty strażników wniosło tron, mieniący się od polerowanego srebra. Przybrana w złotogłów postać siedziała dostojnie, obserwując wszystkich chłodnym spojrzeniem zza maski, zastygłej w grymasie agonii.

Bóg obserwował, nie drgnął w nawet najmniejszy sposób, jakby obawiając się, że jego kiwnięcie palcem może zburzyć świat w posadach. Skroń przyozdabiał mu materiał koloru świeżego sińca, nigdy nie widziałem czegoś tak pięknego.

A mimo to Bóg dalej milczał. Trwał na swoim siedzisku i odnosiłem wrażenie, że świat się burzył. Drażniło mnie uczucie podobne do pękającego w uszach powietrza, jakie przychodziło w niektóre dni, gdy o dach Katedry biła lecąca z nieba woda, tak zwany deszcz.

Kilku gapiów wskazywało sobie palcami poszczególnych pokutników, a na ich twarzach malowało się coś na wzór uśmiechu. Wyglądali, jakby z trudem wstrzymywali swoje prawdziwe reakcje.

Aż w końcu zabrzmiał ryk, wybuch żalu i bólu, nienawiść, bunt wobec wszystkiego. Któryś z flagelantów wstał, chwycił za dwa skręcone druty i ugodził się nimi w oczy. Krew trysnęła gwałtownie, zwolniła i dalej lała się już nieustannie dwoma strugami. Coś uderzyło z plaśnięciem o posadzkę, był to fragment oka biczownika.

Zastanowiłem się, czy wolał się oślepić, bo chciał usłyszeć lepiej nadchodzące Słowo, czy wolał nie widzieć Boga, który milczy?

Salę wypełniły okrzyki i nieskoordynowane uderzenia, niosące się między filarami, grzęznące w obrzydzonym i zafascynowanym tłumie. Bóg dalej przyglądał się w milczeniu, jak jego poddani katują się, nierzadko na śmierć.

Kolejne ciała uderzały o ziemię, gdzie płynąca posoka potrafiła utworzyć niewielkie kałuże, jak woda ciekąca z sufitu w ulewę. Widziałem maski strażników Boga i jego samego. Przez najmniejszy fragment chwili zdawało mi się, że bóstwo parsknęło śmiechem, a zaraz potem strażnicy zaczęli wynosić je na tronie z powrotem, bez ani jednego słowa, a już na pewno bez Słowa.

Wstałem i spojrzałem na zdeorientowany tłum, który w większości uznał, że nie dostatecznie się uniżył, by dostąpić błogosławieństwa. W dłoni ciążył mi pejcz, zważyłem go i stwierdziłem, że jest pewnie cięższy, niż purpurowa wstęga na głowie Boga.

\* \* \*

Zapach alkoholu wwiercającego się w skórę, mięśnie, uderzające w drgawkach o katafalk, wszechobecny zaduch, dający przedsmak tego, co czeka po śmierci.

Dopiero w komnatach kapłanek opieki zrozumiałem w pełni, że nigdy się nie krzywdziłem tak, jak robili to inni. Ciosy były zawsze celowe, wymierzone

z pietyzmem, ale nigdy obsesyjne. Nie spędziłem w domu opieki kiedykolwiek dłużej niż kilkanaście snów.

Czyli to naprawdę ja kontrolowałem swoją rękę, fascynujące odkrycie.

Szorstka gąbka starła strzępy skóry z moich pleców, rozprowadzając półprzezroczystą wodę po wszystkich szczelinach. Miałem wrażenie, jakby myjąca mnie kapłanka była szczególnie niewprawiona w pracy. Nie sposób było tego poznać, zawsze były zamaskowane i milczące, skryte za niezmiennym, rzeźbionym grymasem troski.

– Pomożesz mi zdjąć łańcuch? – spytał ktoś obok.

Reuel zbliżył się do podestu, na którym mnie obmywano i wskazał na zaplątany wokół bicepsa i szyi ciąg ogniw, krępujących jego ruchy. Zaraz jakaś opiekunka zbliżyła się, wyciągając długie, gładkie palce, ale Reuel warknął gardłowo i odsunął się, mówiąc:

– Chcę, żeby on to zrobił. – Wskazał na mnie i w jego twarzy błysnęło coś dającego przyjemne odczucie jak otulenie się futrem w zimną noc. – Fidelis, uwolnij mnie.

Wstałem, rozprostowałem z trudem ramiona, przez co kilka ran otworzyło się na nowo i uwolniło strużyny krwi. Zbliżyłem się do towarzysza niedoli i zacząłem ostrożnie rozplątywać łańcuchy, których zadziory stale czepiały się pęcherzy ropnych.

– Będzie bolało – mruknąłem od niechcienia.

– Będzie warto – odpowiedział Reuel i na moment spojrzał mi w oczy, po czym kiwnął zdecydowanie głową.

Zachręściły mięśnie, trzasnęła rwana skóra, łańcuch zaczął odpadać kawałek po kawałku i dzwonić o nagą posadzkę. Rude skrzepy krwi uderzały z każdym moim wysiłkiem o podłogę i miałem nieodparte wrażenie, jakby to ze mnie spadały okowy.

Reuel pochylał kark, wyprostował plecy, wstrzymując syknięcie bólu i stanął obok mnie, opierając się o podwyższenie przeznaczone do opieki nad pokutnikami.

– Zostaw nas samych – rzucił Reuel, a kiedy kapłanka wyszła, nagle mnie przytulił i załkał. – Mam dość Fidelis, jestem zmęczony, rozumiesz? Całe życie wydaje mi się takie... Nie takie, jakie powinno być, rozumiesz? Coś mi mówi, tak szepcze z tyłu głowy, jak mały człowieczek: kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo.

– Znam tego człowieczka, który ci tak mówi – odpowiedziałem, głaszcząc współtowarzysza po posklejanych krwią włosach. – To ty sam sobie to mówisz i wiesz co? Mówisz bardzo mądrze, ale chyba brakuje ci właściwych słów.

– Nie rozumiem.

Twarz Reuela wyglądała jak u przerośniętego dziecka o wielkim czole i nazbyt szerokim nosie. Było w tym coś kojącego, prostego, obcowanie z drugim człowiekiem, dla samego przebywania obok siebie.

– Odkryłem to niedawno, ale dopiero co upewniłem się, że jesteśmy zniewoleni. Ktoś nam zabrał słowa, by opisać Katedrę i to, co jest poza nią.

– Jest tylko Katedra – powiedział Reuel niemalże bezwolnie, bo było to zdanie, które każdy słyszał setki razy. – Nie ma nic poza nią, tylko czerwone słońce i popiół.

– Czasami myślę, że jednak jest. Że muszą być inne Katedry, gdzie ludzie czują inne rzeczy, gdzie jedzą inaczej i mówią inaczej, bo myślą inaczej.

– Bóg daje nam wszystko, co istnieje – odpowiedział drżącym głosem.

– Właśnie tak by się zdawało, gdybyśmy znali tylko Boga. A jeśli jest coś poza Bogiem, to nie moglibyśmy wiedzieć. Gdyby nam kto pokazał rzecz nową, której nie widzieliśmy, a nie pochodzi z naszych ciał, to niechybnie byśmy oszaleli.

Na twarzy rozmówcy dostrzegłem coś w rodzaju nowej emocji, przebijającej niemalże naturalne wykrzywienie bólu. Fizjonomia nawykła do

cierpienia, teraz zdradzała jakieś głębsze przemyślenia nad naturą własnego odczuwania.

– Czasami światło – zaczął niepewnym tonem Reuel – pada tak dziwnie na plamy potu i iskrzy się, ale nie jak pochodnia albo kaganek. Iskrzy się wieloma kolorami, jak oko, zielone, jak odwodnione żyły albo błękitne jak...

– Co jest błękitne Reuel. Poza oczami, jakie znasz błękity?

– Nawodnione żyły – powiedział po chwili wahania i skrył twarz w dłoniach. – Czuję się chory, zawsze chory i kaleki, ale kaleki w środku. Chcę wyzdrowieć, zaleczyć te blizny i ich nie otwierać. A to, co się dzisiaj wydarzyło... Zadało mi kolejną ranę.

– Widziałem twarze obserwatorów, ustawionych pod filarami wzdłuż drogi pokutnej. Śmiali się, wskazywali nas palcami, szydzili. Widziałem ich czyste twarze i ukryte skrzętnie ozdóbki, jak na tronie Boga, ale mniejsze.

– Skąd mieliby mieć ozdoby od Boga, skoro nie byli w jego uświęconej łasce katorgi?

– Bo nie dostali ich od boga – szepnąłem. – Bo przynieśli je sami z części Katedry, do której zakazano nam wchodzić albo...

Reuelowi oczy zaświeciły się jak dwa knoty, na moment przed zdmuchnięciem oddechem. Płomyki skoczyły wysoko, podświetliły jego twarz w zrozumieniu i zaraz usłyszałem słowa, na które czekałem.

– Albo z zewnątrz – dodał i dostrzegłem na jego twarzy ekstazę.

Zaraz jednak ponownie skulił się, spokorniał, nawyki wzięły górę i puścił moje ramię. Znowu czuł jedynie lęk, paraliżujący strach i wszechobecny wzrok Boga. Zawsze nam mówiono, że Bóg widzi nasze myśli, ale po co miałyby to robić, skoro nikt nigdy nie myślał o niczym, co wykraczałoby poza mury Katedry.

– Musi być Bóg – zaczął szeptać panicznie. – Bo jak nie ma Boga, to na co nam to wszystko? To skąd wziąć siłę, by iść przez cierpienie? Skąd przyczyna i cel, gdy nie można jej osadzić w tym jedynym Bogu?



– Mam chyba rozwiązanie, ale będziesz musiał mi zaufać – powiedziałem, chwytając towarzysza za nabrzmiałe od płaczu policzki. – Znajdę nam nowego Boga, obiecuję.

\* \* \*

Ubranie ciążyło przyjemnie, łaskocząc lekko zbolałą skórę. Obejrzałem się na Reuela i kilku idących wraz ze mną biczowników, którzy mieli dość odwagi, by otulić się w łachmany. Dookoła nas był tylko półmrok, wstyd, poniżenie, a my szliśmy wyprostowani.

Dostrzegłem ponownie Kamaela w tłumie, wyglądał jak mara z dna koszarów. Okaleczona twarz, rozerwane wargi, przez które widać było nagie dziąsła. Musiał źle znieść ostatnią procesję wiele snów temu, gdy nie dano nam Słowa.

Tym bardziej nowa pielgrzymka była wypełniona skowytami konających, kalekami, czołgającymi się po ziemi i wrywającymi się do przodu na rękach. Fala nagich, spoconych ciał wchodziła na wypolerowane, ciemne kamienie i zostawiała za sobą lepkie tafle wydzielin i kawałków mięsa, z których wisiała jeszcze skóra.

Zważyłem w dłoni pejcz najeżony zadziorami, w drugiej był prosty, żelazny nóż do obierania warzyw. Czasami niezwykle oddani pokutnicy potrafili sobie wbijać takie ostrze głęboko w uszy, a potem jeszcze dokończyć kierat wędrówki.

Ja jednak miałem dla niego inne zastosowanie.

Sporadycznie machałem biczem za siebie, tak żeby nie uderzyć w nagie ciało, a przynajmniej nie w swoje. Reuel co chwila spoglądał na mnie z rosnącym lękiem, który aż kipiał w nim i gotowy był zmienić się w krzyk przerażenia. On też nie wiedział, czy na pewno nie stanie się zaraz coś strasznego, jeśli tylko nie uderzy się przynajmniej po nogach albo w podbrzusze.

Przyłożyłem palce do grdyki.

Reuel pokiwał głową i zachował milczenie, choć dłoń zaciśnięta na brzeszczocie stale podrygiwała, jakby zaraz miał się chlasnąć wzdłuż ramion. Najgorsze umęczenie działało się w nim, zadawał cierpienie sam sobie w każdej chwili, której nie poświęcał na biczowanie.

Aż wreszcie dotarliśmy do kresu naszej wędrówki i padliśmy pod wzniesieniem, na które miano ponownie przywlec siedzisko milczącego Boga. Świat jakby rozdzielał się powoli od siebie samego, szarpał pod warstwą własnej skóry, niby próbując zdjąć coś obcego, fałszywego, pozornego.

Ponownie przyniesiono tron i nastąpiła chwila ciszy, w której tylko nieliczni jeszcze łudzili się, że Bóg zaszczyca ich objawieniem doskonałości.

Wstałem.

Miałem wrażenie, jakby moje nogi ważyły tyle, co głązy, które stanowiły fundament Katedry. Przez moment jeszcze coś we mnie krzyczało, bym padł na ziemię i tam został. Jednak było na to za późno, w mojej głowie zaczęły kiełkować słowa, których istnienia wcześniej nie zdawałem sobie sprawy.

Nie umiałem ich nazwać ani przyoblec w jakikolwiek komunikat, ale wiedziałem, jakie uczucia powinny we mnie wzmacniać. Powinienem czuć się, jakbym miał w sobie część tego srebra, którym obity jest boży tron. Że każdy z cierpiętników powinien być tak czysty, jak szaty strażników. A skóra zawsze powinna być tak gładka, jak świeżo odrodzona, ale bez potrzeby bycia wcześniej zranioną i zhańbioną.

Ruszyłem przed siebie, obróciłem się jeszcze na moment i wyciągnąłem dłoń do Reuela, który z wielkim trudem wstał. On również walczył ze sobą w środku, ale wreszcie udało mu się wygrać, a przynajmniej stłumić na moment głos słabości i pozwolić rzeczom dziać się na jego własne życzenie.

Wstało za nami jeszcze pięciu biczowników, których zdołaliśmy długimi namowami przekonać. Widziałem pozostałych, z którymi rozmawialiśmy, a którzy

myśleli, że kłamamy albo się nie odważymy. Teraz to oni albo kłamali, że wstaną albo nie odważyli się tego zrobić i postanowili spędzić resztę życia na kolanach.

Na podest weszliśmy nie niepokojeni, bo i nikt nie był gotowy na cokolwiek, czego by nie znali do tej pory. Nie wiedzieli, że mieliśmy nowe słowa, że stworzyliśmy sobie własne Słowo bez ich pozwolenia.

Za zdobioną maską Boga dostrzegłem oczy, były jasne, błękitne tak jak moje i Reuela. Bardzo ludzkie, bardzo zwyczajne. Wpatrywały się w nas i co chwila skakały w kierunku utensyliów poświęcenia, jakbyśmy zaraz zgodnie z przewidywaniami mieli oddać żywot pod stopami bóstwa.

Wzniosłem wysoko pejcz i po raz pierwszy w życiu odezwałem się w trakcie procesji:

– Nie widzę tu innego Boga... Poza nami.

Rozbrzmiał przeraźliwy trzask. Haki uderzyły czoło Boga i zdarły fioletową opaskę wraz z kawałkiem skóry. Kilka drobnych kropelek krwi polało się na podłogę, reszta zaczęła skapywać na kolorowe szaty.

Pierwszy raz w historii Katedry tak wielu ludzi skupiło się na tak niewielkiej ilości ludzkiego płynu. Płynu, którego przelewaliśmy wiadrami w imię Boga, będącego tak naprawdę człowiekiem w masce.

Bóg krzyknął z bólu i zasłonił się ręką, na co ja uderzyłem drugi raz, tym razem tnąc go po ramieniu. Podniosła się wrzawa, ludzie zaczęli orientować się, że choć nie było to możliwe i nie miało prawa się dziać, to widzieli na własne oczy. Człowiek podniósł rękę na Boga, a ten odpowiedział po ludzku, bolejąc.

Rozgorzało szaleństwo. Reuel skoczył na najbliższego strażnika z dzikością, której nigdy nie umiałbym sobie wyobrazić. Zaczął przerażać szyję człowieka brzeszczotem, ten miotał się i wrzeszczał, potem już przestał krzyczeć, a na końcu nawet nie drżał. Reuel mimo to dalej ciął.

Strażnicy wydawali się absolutnie porażeni, niegotowi. Zawsze biła od nich taka pewność siebie. Wreszcie wiedziałem, że to tylko pozory, maski, skrywające

ludzi, nietrzymających żadnej opieki ani władzy. Byli obserwatorami cierpienia, niemymi posągami, które z rzadka targały tron uzurpatora.

Bóg rzucił mi się do nóg, obalając mnie na podłogę. Zaczął wdrapywać się po mnie, próbując przygnieść moje ciało do twardej posadzki, szarpiąc jasnymi, zadbanymi dłońmi. Rozerwał szatę, uwalniając pozbawione włosów nogi i zaczął mnie nimi kopać.

Nigdy nie poznałem słów, które pozwoliłyby mi opisać dwóch ludzi, zadających sobie cierpienie w wyścigu, którego zwycięzcą byłby ten mniej bolejący. Natomiast potrafiłem zadawać cierpienie sobie, widziałem, jak inni się batożą. Wystarczyło z tych słów stworzyć nowe, potrzebne mi do kształtowania świata.

Uderzyłem kolanem w pachwinę Boga, tam gdzie ból odbiera na moment zmysły i paraliżuje. To dość czasu, by zrzucić z siebie obolałego władcę świata i wbić mu nóż w szyję. On jednak szarpnął się nagle, a ostrze zjechało po obojczyku, przebijając złotogłów i żgając miękką skórę.

Dookoła mnie trwała monumentalna, wielostronna katorga. Ludzie zadawali ból sobie i sobie nawzajem i innym i wszystkim. Obserwatorzy próbowali uciekać, łapani nierzadko przez cierpiętników, którzy pozwalali im poczuć z bliska, jak wygląda wędrówka przez Katedrę. Gama okrzyków bólu jeszcze nigdy nie była taka bogata.

Pięść trzepnęła mnie w głowę, aż poczułem, jak moja szyja odskakuje w tył. Dało mi to o dziwo więcej radości niż jakikolwiek ból, który zadawałem kiedykolwiek sobie. Było to utwierdzenie w przekonaniu, że Bóg był jedynie biernym obserwatorem, a sam nigdy nie musiał przejść uświęconej drogi.

Podniosłem się na równe nogi, Bóg zaczął robić to samo, jednak byłem szybszy i kopnąłem go w żebra. Poleciał w bok i uderzył plecami o majestatyczny tron. Maską brzęknęła, wyginając się. Część szlachetnego kruszcu posypała się na ziemię.

Więc jednak nic nie było na zawsze, a Bogiem był każdy.

Wzniosłem pejcz do uderzenia i ciąłem bóstwo przez plecy raz, drugi, trzeci. Straciłem rachubę czasu, nie wiedziałem jak długo to trwało, zatraciłem się w ekstazie. Tak, po raz pierwszy czułem opętanie, żądzę krwi, zniszczenia, bólu, ale nie swojego. To było to, czego doświadczali inni, a ja nie mogłem nigdy znaleźć.

Kilku ludzi naskoczyło na pojedynczego strażnika, obleźli go jak wszy stary koc i zaczęli równie zaciekle gryźć i szarpać. Widziałem kątem oka dziesiątki, jeśli nie setki pojawiających się śladów niepełnego użębienia. Rozerwali go na strzępy, otworzyli jego żebra i nie znaleźli ani kawałka czegokolwiek, co czyniłoby go bardziej uświęconym w łasce, niż nas wszystkich.

Spojrzałem na plecy Boga, które zmieniły się w jeden wielki, wystrzępiony sztandar mięsa, z którego furkotały zdobienia ścięgien. Chwyciłem go za ramię i wraziłem nóż w grdykę, prawdopodobnie był to jedyny raz, gdy Bóg mógł czuć większy ból ode mnie.

Delektowałem się tym cierpieniem, czułem, jak tworzy ono nowe słowa, uwalnia mnie, wyolbrzymia i nadaje coś, co świadczyło o mojej wartości. Czułem wyraźnie, że Bóg, który był we mnie, wyszedł na zewnątrz, pozostało go tylko w pełni przyodziać.

Zdjąłem maskę z twarzy zarżniętego, nowopowstałego męczennika i włożyłem ją na siebie. Po policzkach spłynęły mi strugi krwi, a coś wewnątrz sztucznego nosa zapachniało intensywnie. Była to woń, której nikt z Katedry nigdy wcześniej nie miał prawa czuć.

Spojrzałem na spływające po schodach kaskady czerwieni i podniosłem wzrok na umęczone tłumy. Stłoczona, naga masa brudnych kończyn i błyszczących w mroku oczu. Wpatrywali się we mnie, jakby nie rozumiejąc już, że nie jestem tą samą osobą, którą znali całe życie. Jedni nadal patrzyli na mnie jak na Fidelisa, inni przez wzgląd na maskę, jak na samego Boga.

A ja widziałem teraz, z wysokości schodów, jaką stanowimy bezdenną przepaść i pustkę. Pojąłem, że trzymano nas w brudnej norze, którą mieliśmy za cały świat.

Chwyliłem za wystrzępioną, purpurową opaskę wykrwawionego bóstwa i zacząłem iść w kierunku tłumu. Pokutnicy rozstępowali się na boki, jakby przerażeni, ale nie samym niebezpieczeństwem, gdyż były ich tak samo setki przeciwko mnie, jak przed chwilą byliśmy my przeciwko Bogu.

Podąłem najbliższemu z biczowników opaskę, a ten chwycił ją ostrożnie, jakby miała go wygotować żywcem. Tak się jednak nie stało, materiał spoczął delikatnie między umęczonymi palcami, wznecając powszechny zachwyty.

Ludzie zaczęli zbliżać się do mnie na nowo, by dotknąć skraju tych samych, brudnych, pobliźnionych ramion, które sami mieli. Teraz jednak były to nowe ramiona, człowieka wzbogaconego o Słowo, którego oni nie znali. Słowo, które mogłem zachować dla siebie i zostać władcą pustki, dzierżącym cierpienie Bogiem niczego.

Kulejąc, skierowałem się do zakazanych wrót i powiedziałem głośno:

– Daję wam Słowo, na które zasługujecie. Oznacza ono Boga w każdym z was. To możliwość poznania całego świata i zadecydowania samemu, czy chce się spędzić resztę żywota w korytarzach Katedry. Tym słowem jest wolność.

Naparłem na sztabę, która wstrzymywała bramę. Całe życie myślałem, że nie da się jej ruszyć, bo nie wyobrażałem sobie, że to w ogóle możliwe. Okazało się, że była nadzwyczaj lekka.

Drewniana bela uderzyła o ziemię z łoskotem, ludzie zamarli w oczekiwaniu.

Drzwi otworzyły się powoli, oślepiając nas jasnym, białym światłem.

# Dziękujemy wszystkim Patronom

Jan Lutze	Grzegorz Dombrowski
Paul Troffke	Barbara Konopka
Rafał Krzyżanowski	Weronika Jaśkiewicz
Michał Misztal	Jakub Pierzak
Kamil Szyłkiewicz	Jakub Rogala
Wirginia Jankowska	Jan Guzik
Wiktor Ordon	Cyprian Perepeczo
Damian Kurek	Michał Lipski
Marcin Ostoja-Helczyński	Mateusz Wyszzyński
Barry Lidders	Jacek Kloss
Michał Nowak	Marcin Gepner
Adam Orlicki	Karol Szewczyk
Anna Myszkie	Kate Turwon
Sebastian Wójcik	Damian Bociek
Katarzyna Gabrysz	Ania Jędrowiak
Rafał Rogoziński	Ada Benio
Janek Buszkiewicz	Filip Siuda
Kacper Paczyński	Paulina Chodyra
Michał Nowicki	Dawid Kloś
Monika Zajączkowska	Dominik Kucharski
Dawid Furmanek	Kamil Sobczyk
Paweł Gągała	Mikołaj Stężycki-Wojtasiak
Sebastian Pasterniak	Jakub Sawicki
Maciek Pernal	Przemek Piotrowski
Kamil Maciasz	Wojciech Dąbek

Miłosz Dunikowski  
Krzysztof Negacz  
Julia Podgórska  
Kacper Jaśkiewicz  
Edmund Kukowski  
Damian Kurek  
Michał Orzołek  
Tomek Kisiel  
Jakub Hukiewicz  
Paweł Etmański  
Maciej Knap  
Mikołaj Roszczyk  
Stomolko Connor

Kazno De  
Łukasz Strzyżewski  
Dorota Dzikowska  
Kamil Adamczak  
Daria Sawicka  
Izabela Kajmowicz  
Marta Niedźwiecka  
Maciej Chrobok  
Darek Mytych  
Piotr Walasik  
Cezary Kubiński  
Janek Kozak